Tresura bizantyjska. Gorzka prawda o Unii Europejskiej

Czym jest Unia Europejska w perspektywie i płaszczyźnie politycznej – to już mniej więcej wiemy: instrumentem polityki niemieckiej w realizacji starego projektu *Mitteleuropy*, jako komplementarnego zaplecza dla przemysłu niemieckiego. Projekt ten służy zarazem awansowi Niemiec z kraju okupowanego i izolowanego – *via* francusko-niemiecka Wspólnota Węgla i Stali z roku 1950 – do dzisiejszego mocarstwa regionalnego, z wyraźnymi ambicjami do roli jednego z imperiów światowych. Ale gdyby tak spojrzeć z perspektywy głębszej i szerszej i zapytać: czym jest lub raczej czym staje się Unia Europejska oglądana z perspektywy cywilizacyjnej?

Nasz wybitny historyk, Feliks Koneczny, podkreślał jeszcze przed II wojną światową, że cywilizacja bizantyńska „nie uznała etyki katolickiej w całości – nie uznawała, by władza kościelna była niezawisła od świeckiej". Koneczny już wtedy zauważył przenikliwie, że cywilizacja bizantyńska zakorzeniła się nie tyle w Rosji – która uległa stepowo-militarnej cywilizacji turańskiej – ale w czasach nowożytnych ukorzeniła się w Niemczech.

Niemcy są dzisiaj niekwestionowanym kierownikiem politycznym Unii Europejskiej, której „ucywilizowanie" bizantyńskie rzuca się w oczy: dominacja biurokracji, etatyzm, rugowanie moralności z przestrzeni publicznej, zastępowanie chrześcijańskiej etyki „etyką sytuacyjną", praw naturalnych – prawem stanowionym, relatywizacja prawdy w życiu publicznym,

poziom konsumpcji jako główny wykładnik pozycji społecznej… Gdy w aspekcie politycznym – po Maastricht i Lizbonie – dokonuje się w UE zasadnicza zmiana formuły politycznej Unii Europejskiej (z początkowego związku państw narodowych, a więc federacji państw UE, z wolna, ale konsekwentnie przeobraża się w państwo związkowe, państwo federalne, którego członkowie są już tylko jego częściami składowymi) – w płaszczyźnie i perspektywie cywilizacyjnej postępuje w UE dominacja cywilizacji bizantyńskiej nad łacińską.

Definiując cywilizację bizantyńską, historycy podkreślają charakterystyczne dla niej: podrzędność moralności wobec siły materialnej, wyższość formy nad treścią, silna tendencja do ujednolicania życia, wskutek czego katolicki, łaciński uniwersalizm rozumiany jest ciasno, dogmatycznie, jako „ujednolicenie" zachowań i myśli. A że taka jednolitość da się utrzymać tylko przy użyciu państwowego przymusu – rola państwa i jego władzy rośnie, kosztem wolności obywateli.

Wypłukiwanie suwerenności

Właśnie dokonał się – pod szyldem „planu odbudowy po pandemii" – kolejny istotny etap wypłukiwania resztek suwerenności z co słabszych państw unijnych. Współczesne „Bizancjum" zyskało dodatkowe instrumenty władcze: Bruksela (mówimy Bruksela – myślimy Berlin…) będzie odtąd mogła zaciągać długi w imieniu państw członkowskich, a co za tym idzie w sposób nieunikniony – nakładać bezpośrednio dodatkowe podatki na „obywateli UE". Wymagać to będzie, co oczywiste, utworzenia w UE potężnej, nowej biurokratycznej struktury skarbowo-kontrolnej… Powołana ma być też prokuratura unijna… Przyjęty „plan odbudowy" zakłada zaciągnięcie gigantycznych pożyczek, lecz u kogo? Na jaki okres? Na jakich warunkach spłaty? Na jaki procent? W tej sprawie „ani mru-mru" obywatele UE nie byli „konsultowani", chociaż to oni, ich dzieci i wnuki spłacać będą te zobowiązania. Czy będą w stanie je spłacać bez istotnego uszczerbku dla swej wolności? Bez wyzuwania ich z własności?

Wolność osobista, własność, podatki – to zbyt poważne sprawy, by rozstrzygać je tak wysoko, tak daleko ponad głowami obywateli, w wąskim gronie sitwy unijnych polityków. Zwłaszcza że ani „władze unijne”, ani ich potężna, rozrośnięta monstrualnie biurokracja nie ponoszą przecież żadnej odpowiedzialności materialnej, podobnie jak unijni politycy, którzy dziś są – jutro odchodzą.

Jest znamienne, że wobec każdego kryzysu gospodarczego UE reaguje raczej zaciąganiem długów lub drukiem inflacyjnego pieniądza niż ograniczaniem wydatków państwowych i programów socjalnych, redukcją biurokracji, zmniejszaniem opodatkowania, a zwłaszcza opodatkowania pracy (w Unii Europejskiej jest ono ogromne!). Dla władz politycznych – zwłaszcza w systemach demokratycznych – to pierwsze rozwiązanie jest bardzo kuszące, to drugie grozi zaś utratą popularności, co w systemach tych oznacza dla wielu polityków koniec karier…

Narastający dług publiczny państw demokratycznych, któremu towarzyszy notoryczne uchwalanie budżetów „z deficytem”, przypomina „ucieczkę do przodu” zatroskanych o swe posady, synekury i pozycje polityków przed spiętrzająca się falą: niech uderzy jeszcze nie w nas, a w naszych następców…

Warto zauważyć i to, że o ile Kościół rzymskokatolicki był uniwersalnym „wychowawcą narodów”, o tyle cywilizacja bizantyńska spychała zawsze „narody” ku „uniwersalizmowi”, rozumianemu jako podporządkowanie się „uniwersalnej” władzy świeckiej.

Na naszych oczach początkowa, katolicka wizja „zjednoczonej Europy suwerennych narodów” uległa degeneracji w bizantyńską wizję tejże Europy. Świecki, unijny, bizantyński „treser” narodów nadaje się na „wychowawcę narodów” jak pięść do nosa – to ich likwidator.

Marian Miszalski